

Wstawaj śpiochu!

Przebudzenia są najlepsze. O ile oczekiwane.

- Wstawaj śpiochu! Śniadanie! Jacek!

Te słowa, mniej więcej sprzed siedemdziesięciu kilku lat, pamiętam najlepiej. Również babkę, która nieodmiennie budziła mnie przechodząc głosowo płynnie, łagodnie, od piano do forte. Nie bez żalu przecież, gdyż bardzo lubiła patrzeć na śpiącego smacznie wnuczka. No ale szkoła od ósmej, a i śniadanie gotowe.

Teraz, w umieralni, zastanawiam się co wieczór: jak to jest, że w ostatnich latach, dniach, coraz lepiej pamiętam tylko wybrane szczegóły, twarze i wydarzenia z okresu gdy miałem mniej więcej dziewięć, dziesięć lat. Obrazy późniejsze w większości zaginęły chyba już na zawsze, zamazały się całkowicie – w każdym razie są mniej wyraźne niż te, o których mówię. Musi to mieć jakiś związek z osobami, które kochały mnie naprawdę i w szczególności chyba sposób. Jaki?

Babka z pozoru była kobietą twardą i zaradną, choć ta zaradność mogła przecież objawiać się tylko w niezwykle wąskim zakresie możliwości ponurej, komunistycznej rzeczywistości lat pięćdziesiątych. Mieszkaliśmy, żyliśmy razem w pokoiku o powierzchni jedenastu metrów kwadratowych. Szafa, stół, dwa krzesła, maleńki kredens, kuchnia kaflowa, stolik na wiadro z wodą, węglarka. No i dwa łóżka. Babczyne w miarę normalne – moje to przedziwna konstrukcja, zrobiona ze skrzynek po jabłkach i przypadkowych dość, pościąganych skądś desek. Do dziś pamiętam to podstawowe narzędzie babki – piłę ramową z naciągami sznurkowym – którą operowała co i rusz z dużą wprawą.

To specjalne wyrko było więc samoróbką – wygodną jednak i zbudowaną racjonalnie. U wezgowia maleńka półka przykryta haftowaną serwetką, na której stało bakelitowe radio lampowe marki „Promyk”, którego słuchałem namiętnie przed zaśnięciem, operując z upodobaniem gałką strojenia w poszukiwaniu dających się zrozumieć audycji Radia Wolna Europa, niemiłosiernie, złośliwie i zapewne z wielkim nakładem sił i środków, zagłuszanych przez komunę.

Podobnie spędzali wieczory sąsiedzi, inni lokatorzy rozsypującej się, przedwojennej kamienicy bez instalacji wodnej i kanalizacji, z ogólnym, koszmarne obesranym wychodkiem na podwórku. Do tego ogromny, z rzadka opróżniany śmietnik - szczury, karaluchy, a w mieszkaniach upierdliwe pluskwy. W ogóle cała okolica to biedota robotnicza, wiecznie napity, awanturujący się lumpenproletariat. Klasa rządząca przecież, sól ziemi! I tylko gdy któryś sąsiad nieostroźnie nie wyciszył swojego odbiornika, lub po pijaku przysnął przy głośniku, poprzez cienkie ściany niósł się jazgot zagłuszone i przebijający na tle śmiecia dźwięk zakazanych treści. A gazet, zwłaszcza „Głosu Robotniczego” czy „Trybuny Ludu”, nikt nie czytał. Może - między innymi - dlatego, przez te wszystkie lata, ludzie nie donosili na siebie, nie kablowali do ukochanej wadzy.

Babka dostawała mikro emeryturę po dziadku, który oficjalnie zamarzył gdzieś na Syberii. To nie wystarczało nawet na żałosne utrzymanie dla niej samej, a cóż dopiero na dorastającego chłopaka, szalejącego po okolicy wraz z kolejami, niszczącego bez opamiętania ubrania i buty. Stąd i nasze wyżywienie nie wystawne – proste, najtańsze. Chleb ze smalcem, barszcz ze skwarkami, albo i nie, rzadko rarytasy – kaszanka, dorsz smażony, kawa zbożowa „Inka”, odtłuszczone mleko. Czasem jarmuszka – jadalna, dziko rosnąca zielenina, którą zbieraliśmy z babką po okolicznych polach. O fructach typu cytryna, pomarańcze, nie było mowy! Zresztą statki z cytrusami, anonsowane z klasową dumą przez radio, zawijały do polskich portów tylko na święta, a owoce trafiały prawie wyłącznie na wybrane, godniejsze stoły. Podobnie kanadyjska lub amerykańska pomoc z UNR-y. Raz tylko, jako chyba wyjątkowo potrzebujący, przytargaliśmy z babką kartonową paczkę, zawierającą tłuszcz sojowy, mąkę kukurydzianą, ziarno. Czekolada, konserwy rybne, czy zwłaszcza mięso z puszk, wyparowały gdzieś w drodze między statkiem a punktem rozdziału. Ale potwierdzić trzeba było komplet.

Babka, by utrzymać nas jakoś, zmuszona była dorabiać. Trochę handlowała jabłkami na rynku, kisiła barszcz który sprzedawała sąsiadkom za grosze, brała posadę dozorczyńni. Zimą – a zimy wtedy były prawdziwe – pomagałem babce w miarę sił małego szczyła w rozkuwaniu zamrożonego rynsztoka, do którego ludność wylewała pomyje. Sama drobna, szczupła kobieta, napażła wielkim łomem w twardey lód, co chwila odpoczywając. Brałem wtedy ów łom i ledwie mogąc unieść żelastwo, naśladowałem ją udatnie. Zamiataliśmy też chodnik i odśnieżaliśmy pilnie tak,

by zdążyć przed sprawdzającym wszystko o szóstej rano dzielnicowym. A ten nie miał litości. Gdy coś nie tak – brud, czy nie posypane piaskiem – wypisywał ogromne mandaty.

Nie chorowaliśmy chyba specjalnie, choć pamiętam dwa przypadki. Pierwszy, to wycięcie migdałów, na które zostałem skierowany przez jakiegoś konowala. Pani chirurg która uskuteczniła zabieg, obiecała, iż jeśli nie będę wrzeszczał z bólu, załatwi mi po zabiegu lody. Raz, jako nagrodę, dwa, jako pożądaną, chłodzący poranione gardło specyfik. Więc nie protestowałem specjalnie, kiedy wprowadzała mi do gęby jakieś zimne, stalowe ustrojstwa. Jednak po pierwszym, koszmarnie bolesnym cięciu, nie wytrzymałem i zacząłem drzeć się na cały szpital. Chciałem uciec, ale przecież przezornie przywiązano mnie do stołka. Dalej już szło jej gorzej, więc w złości, w takt moich wrzasków, waliła mnie po piersi jakimiś metalowymi narzędziami. O późniejszych lodach mogłem oczywiście tylko pomarzyć.

Druga historia to moje zapalenie opon mózgowych. Pamiętam też panią hm... doktor, która prócz aspiryny i innych, mniej lub bardziej stosownych leków, przepisała mi kilka maleńkich kawałków twardej, gorzkiej czekolady. Babka wykupiła mi to w aptece i wtedy, pierwszy raz w życiu, poznałem smak czekolady. Całkiem gorzkiej, a więc niesmacznej na tyle, iż do dzisiaj za czekoladą nie przepadam. Również wtedy, jedyny zresztą raz, przeżyłem wejście do tunelu, który był raczej zbliżającą się, powiększającą, jaskrawą plamą świetlną. Wtedy też na krótką chwilę zrozumiałem wszystko: jak i dlaczego działa wszechświat, co my tu robimy, jakie to wszystko w istocie słuszne, dobre i proste. Najwyraźniej przesilenie w chorobie, niemniej świadomość tej chwilowej wiedzy, prostoty wszystkiego, która, ma się rozumieć, ulotniła się po chwili bezpowrotnie, pozostała mi do dziś.

Tak, czy owak, żyło nam się z babką zupełnie znośnie. Używam słowa babka, mimo, iż nawet wtedy, myślałem o niej czulej – była mi przecież opiekunką, babcią! Jednak siermiężność czerwonych czasów oraz fakt, że babka nie rozczulała się nigdy nad sobą ani nawet nade mną – nie używała zmiękczejących rzeczywistość słów – skłania mnie do nazywania Jej właśnie babką. Twardo i trochę, a nawet mocno wbrew temu, co do Niej czułem i czuję, ale może niech już tak zostanie.

I tylko teraz, w miarę dziwnego, pamięciowego precyzowania tych minionych sytuacji, myślę sobie, że chciałbym to naprawdę przeżyć jeszcze raz, ale w taki sposób, by móc naprawić tych kilka drobnych wobec Niej błędów, spełnić kilka popełnionych wtedy zaniechań, okazać babce, babci, więcej przywiązania, wdzięczności, miłości wreszcie. Mniej szaleć poza domem z kolesiami, pomagać bardziej, przytulić czasem. A jeśli istnieje reinkarnacja, to żeby On to wszystko łaskawie umożliwił. Bo może to, co spotyka mnie dzisiaj – nie wykluczam tego – jest rodzajem życiowej, spóźnionej nieco odpłaty za moją dziecięcą bezmyślność? Chociaż nie... To by była kosmiczna przesada, przedobrzeństwo. On przecież musi mieć wielkie, czujące serce...

Bo za jakież ciężkie grzechy muszę od miesięcy znosić codzienną, upokarzającą obsługę w wykonaniu Krychy? Już samo jej wejście do sali z nową kroplówką, powoduje drgawki i chęć natychmiastowej ucieczki z pola rażenia tych maleńkich, złośliwie zmrużonych oczek. Żalodne resztki siwych włosów stają mi na głowie, język drewnieje, A ona, Krycha, wpada tu wojskowym, energicznym krokiem, omiata pokój twardym wzrokiem, bez słowa, z widoczną odrazą, odpina mi pustą butelkę, zakłada nową. Nawet nie spojrzy na krwawiący od kilku dni wenflon, nie zapyta o samopoczucie, nie poprawi poduszki, Niby zawodowa pielęgniarka, a w istocie zimna gadzina bez serca. I gdyby wizytujący tę umieralnię raz w tygodniu konował pomylił się celowo i zaordynował mi cyjanek, podałaby go bez mrugnięcia. Aż dziw, że nie sięga do kabury i nie wymachuje nabitym naganem nad każdym, dogorywającym tu bezbronne staruszką. Ale nie musi. Wszyscy i tak wiemy, że robi to w swej lodowej wyobraźni i z wielkim upodobaniem.

Cóż... Mam nadzieję, że wreszcie naprawdę nie przetrzymam nocy. Oczy zamykają się same, myśli zamierają, światło ciemnieje. Nawet ten okropny, ciągły ból, łagodnieje... Oby...



- Wstawaj śpiochu, śniadanie! Jacek – łobuzie jeden!

Podnoszę więc odporne powieki, siadam na łóżku. Przez otwarte szeroko okno zagląda wesolutkie, poranne słońce, świeżo zakwitły bez chwali się tysiącami białych płatków, a pełne energii, bezczelne wróble, szaleją po blaszanym parapecie. Babcia patrzy na mnie i uśmiecha się szeroko. Też się uśmiecham.

- Dzień dobry... babciu. Kocham cię!

Koniec.

1702

Autor: golesz

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl